

Co może minister?

*Psychologa mniemania
na głębokie pytania*

Zwykle myślimy o ludziach piastujących urzędy państwowe, że są to jacyś „oni”. Nie należą do zwykłych śmiertelników, gdzieś tam na szczytach władzy załatwiają różne interesy, o których wiemy raczej niewiele. Stąd zawsze rodzą się podejrzenia, że dbają głównie o własny interes i gdy przychodzi co do czego, to uciekają się do różnych nieczystych i nieuczciwych zagrań. Chyba dlatego raczej nikt specjalnie nie lubi polityków. Bo mają władzę, o której my możemy tylko śnić i wbrew deklarowanym intencjom bardziej zabiegają o swoje niż wspólne dobro, co też może jest również naszym ukrytym i niezrealizowanym marzeniem.

Tak czy owak, polityków na wysokich stanowiskach widzimy niemalże jak ludzi wszechwładnych. Recenzując ich poczynania, często myślimy sobie – co też zrobilibyśmy na ich miejscu. Puśćmy więc przez chwilę wodze fantazji. Gdybym tak był ministrem środowiska... ech, utworzyłbym nowe parki narodowe i powiększył istniejące, wzmocniłbym sieć Natura 2000, zakazał polowań, upraw GMO, budowy infrastruktury w miejscach cennych przyrodniczo. Zrobiłbym też jeszcze wiele innych rzeczy, o których wolę jednak tutaj nie pisać. I co? I prawdopodobnie już nazajutrz nie byłbym ministrem środowiska.



[Fot. luisar, flickr.com](https://www.flickr.com/photos/luisar/)

Wyleciałbym z pracy z wielkim hukiem, ponieważ to, co uważam za właściwe, prośrodowiskowe działanie, nie pasuje do głównego nurtu polityki realizowanej przez ludzi trzymających władzę. Ale nie tylko o nich tu idzie. Nawet gdyby mój przełożony – premier, podzielał moje zamierzenia, to prawdopodobnie obaj zostalibyśmy wywiezieni na taczkach przez pospolite ruszenie przerażonych współobywateli.

Nasz demokratyczny świat zakłada, że politycy i ludzie władzy są wyrazicielami pragnień, aspiracji, wizji świata, wartości i oczekiwań dominujących w społeczeństwie. Nawet w krajach totalitarnych czy niedemokratycznych ludzie w jakimś stopniu zgadzają się na to, by obowiązujący system trwał. Dopóki to, co robi władza, mieści się w granicach społecznej akceptacji, dopóty system trwa, nawet jeśli władza nie ma pełnej społecznej legitymizacji. Tam zaś, gdzie władza przekracza subtelny granicę społecznej akceptacji własnych działań, tam rozpoczynają się rewolucje. Człowiek mający władzę jest więc zawsze bardziej lub mniej „społecznym delegatem”, jest „głosem ludu”.

A czego ten lud chce? No cóż, w większości nasze pragnienia są raczej przyziemne. Chcemy żyć lekko, łatwo i przyjemnie. Ma nam być dobrze. I od tego jest władza, by nam to dać. To bardzo interesujący mechanizm, ponieważ nasze potrzeby są coraz bardziej nienaturalne. Inaczej mówiąc, nawet jeśli żyje się nam już dobrze (a tak jest w państwach dobrobytu – w tym w Polsce), to chcemy, żeby było nam jeszcze lepiej. I nawet jeżeli wzrost materialnego bogactwa nie przekłada się na wzrost dobrostanu i poczucia szczęścia, to ciągle złudnie wierzymy, że tak się stanie i dlatego wciąż chcemy więcej i więcej. Zawsze też znajdują się ludzie (kierowani podobnym pragnieniem), którzy dla własnego zysku będą chcieli nam to dać.

Tak oto nakręcamy spiralę potrzeb i zachcianek, która nigdy nie ma końca. Cały rozwój cywilizacyjny, cały tak zwany postęp, jest niczym innym, jak usilnym nakręcaniem tej spirali. W tym znaczeniu staliśmy się niewolnikami postępu za wszelką cenę, niewolnikami, którzy w zamian za

złotą klatkę rezygnują ze swych najgłębszych i najbardziej prawdziwych potrzeb. Ci niewolnicy następnie w akcie wolnego wyboru przysposabiają innych niewolników do roli zarządców złotej klatki.

Jako niewolnicy kochamy nasz stan niewoli i z tych względów wybieramy kogoś, kto gwarantuje, że *status quo* zostanie utrzymane.

Co zatem może minister? Może tylko to, co zgadza się z duchem czasu, w jakim przyszło mu sprawować swój urząd, co zgadza się ze społecznymi wyobrażeniami i oczekiwaniami. Minister środowiska w tym względzie jest w szczególnie trudnej roli, bo w gruncie rzeczy jest to jedyny resort, który z pozoru występuje przeciwko ludziom. Czasy bowiem są takie (i takie jest myślenie ludzi), że ochrona przyrody jest przeciwko człowiekowi. Tam, gdzie próbuje się docenić wartości przyrodnicze, gdzie próbuje się działać na rzecz środowiska naturalnego, tam od razu podnoszą się głosy, że dzieje się to ze szkodą dla ludzi. Każdy minister środowiska jest więc między młotem a kowadłem i musi dokonywać niewyobrażalnych szpagatów, by pogodzić to, czego godzić tak naprawdę nie potrzeba.

Ci, którzy w tym pozornym konflikcie stawali po stronie ludzi, narażali się na krytykę organizacji ekologicznych, ci zaś - nieliczni - którzy próbowali przynajmniej w jakiejś części chronić przyrodę (jak prof. Maciej Nowicki) narażali się na powszechną krytykę z różnych stron. Pole manewru jest bardzo ograniczone, podobnie jak wspólny obszar, w którym mogą spotkać się nasze zachcianki z interesem przyrody. Prawdziwi ideowcy, którzy widzą, że nasza cywilizacja uległa niebezpiecznemu złudzeniu, nawet gdyby mieli władzę, niewiele mogliby zrobić. Może to właśnie był zasadniczy powód rezygnacji prof. Nowickiego z zajmowanego stanowiska.

Czekanie aż minister, premier, prezydent czy jakakolwiek inna władza zacznie dbać o interes przyrody, a przy okazji o nasz własny, jest w dużym stopniu daremne, ponieważ większość z nas tego nie chce. Z drugiej strony ciągłe oczekiwania, że władza w końcu coś zrobi, jest jednym z najbardziej powszechnych usprawiedliwień własnej beczynności. Ludzie w większości oczekują, że „oni” podejmą jedyne słuszne decyzje i w końcu rozwiążą wszystkie nasze problemy. Ci „oni” zaś, mając ręce związane rozlicznymi uwarunkowaniami i całym kontekstem cywilizacyjnym, tak naprawdę niewiele mogą. Tak oto zwykli ludzie mają ogromną władzę, choć jednocześnie wydaje im się, że nic od nich nie zależy - a ludzie na wysokich stanowiskach mogą myśleć, że mają ogromną władzę, choć po prawdzie ich wpływ na rzeczywistość jest ograniczony.

Oczywiście coś jednak od ministra środowiska zależy, w końcu byli tam ludzie, którzy dla przyrody zrobili parę dobrych rzeczy. Jednak los naszej planety w mniejszym stopniu zależy od tego, czy da się ochronić kolejny izolowany obszar przyrodniczo cenny, bardziej natomiast od tego, czy my - zwykli ludzie, zmienimy nasze codzienne decyzje. To właśnie w naszych umysłach ważą się losy świata.

Gabinety ministrów, polityków i władców są oczywiście miejscami, gdzie zapadają ważne decyzje, ale ich wpływ na to, co nas otacza, jest mocno ograniczony. Najlepsze bowiem rozwiązania i przepisy pozostają na papierze, jeśli nie ma dla nich społecznej akceptacji. Tak jest m.in. z konstytucyjnym zapisem o zrównoważonym rozwoju, którego założenia Polska ma wprowadzać w życie, a który wciąż pozostaje martwy, jak ekologiczny duch społeczeństwa.

Nie ma więc co czekać na lepszego ministra (choć w jakimś stopniu takiego właśnie zyczylibyśmy sobie), nie ma też większego sensu - moim zdaniem - czynnie lub biernie angażować się w życie polityczne, które zawsze jest związane ze wspieraniem głównego nurtu. Uczestniczenie w tej grze z intencją, by rozwiązać problemy ekologiczne naszego świata, jest z góry skazane na niepowodzenie, o czym świadczą kolejne fiaska szczytów klimatycznych. Zamiast więc marzyć o władzy, dużo lepiej jest wnikliwie przyjrzeć się sobie oraz swojemu życiu, a następnie zacząć na

każdym kroku praktykować uważność i dbać o całość na najbardziej podstawowym poziomie.

A gdy już zaczniemy to robić, to w naturalny sposób pojawią się inni, którzy wkroczyli na podobną ścieżkę. Łącząc się w grupy, pomnażamy swoją siłę i łatwiej radzimy z trudnościami, dając sobie nawzajem wsparcie. W tej małej skali rodzi się prawdziwie spontaniczny i autentyczny ruch, który daje nadzieję na przyszłość. Tego rodzaju zaangażowanie jest w stanie zmienić życie konkretnego człowieka w takim zakresie, o jakim żaden minister nie może nawet marzyć.

Ryszard Kulik



Kolumna dofinansowana przez Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach.